

Opowieść Wilczycy

Rok 951 p.w.e., Pethaban

Miasto Kagarhaveli nie było aż tak zachwycające, jak dwie poprzednie stolice¹, które zajęli. Cóż na świecie zresztą mogłoby równać się złotym dachom Meghalayi, czy białym uliczkom Tipura Nadu, tonącym w barwnych kwiatach. Kagarhaveli było miastem godnym, ale widocznie starym, poszarzałe mury o obdartych tynkach widziały prawdopodobnie poprzednie tysiąclecia i tak właśnie wyglądały. Niewiele było reprezentacyjnych budowli, placów i ogrodów, więcej użytkowych budynków mieszkalnych, urzędowych, koszar, cekhauzów, magazynów. Ale były także te reprezentacyjne i one owszem zapierały dech przepychem, zdobieniem i architektonicznym kunsztem.

Jednym z nich była Książnica Mędrców Piątej Katarakty².

Oszłamiający budynek zbudowany na planie siedmiokąta, wsparty na misternie rzeźbionych kolumnach, stanowił centrum Piątej Dzielnicy, którą zdobywca Południowej Bramy, nojon-chan³ Irinchebal, obrat sobie za tymczasową kwaterę.

Ledwie dzień minął, od kiedy podlegające mu minghuny⁴ wkroczyły do kapitulującego miasta. Nojon-chan, za porozumieniem z kaganią, przypieczętował układy, podczas gdy ona zajęła się punktem zapalnym po drugiej stronie stolicy, gdzie wbrew decyzjom rządzącej miastem Rady Mędrców część mahów postanowiła bronić się do ostatniego w jednej z baszt. Nie mieli większych szans, ale całe miasto patrzyło, jak samniskie oddziały poradzą sobie z tym oporem, oceniając i rozważając dalsze posunięcia.

- Panie - Irinchebal z niechęcią odwrócił się od okna, przez które podziwiał płaskorzeźby na ścianie okazałego budynku, sąsiadującego z tym, który zajął na swoją kwaterę. Poniżej, w wąskich uliczkach, trwał ruch jego oddziałów, którym zezwolił na swobodny rabunek. Zastużyli w końcu.

Batsaikhan, dowódca irmeg-arbanu⁵, trwał przy drzwiach, schylony w ukłonie. Nojon-chan zauważył, że jego ukłon był charakterystyczny, sztywny, wyprostowany, pełen dumy. Irmegici byli uważani za niemal równie dobrych wojowników jak keshig⁶, "irmeg" oznaczało przecież "ostrze" i jeźdźcy tego arbanu byli doborowym oddziałem każdego minghunu.

Za nim, pod drzwiami, stali także gwardziści keshigu oraz ming-beje, czekający na dalsze rozkazy gońcy i szamani czekający na decyzje dotyczące pochwyconych mahów. Za plecami samnijskich dowódców kilka barwnie odzianych postaci w złotonych zawojach na głowach dreptało niespokojnie, oczekując najwyraźniej wpuszczenia do sali.

- Panie - dowódca powtórzył, widząc, że zyskał uwagę - Przedstawiciele Mędrców z tej dzielnicy błagają pokornie o widzenie z tobą.

Irinchebal nie spieszył się z odpowiedzią. Batsaikhan trwał nadal w ukłonie.

- Panie...?

- Chcą? - Irinchebal niedbatym ruchem dłoni nakazał wojownikowi podnieść się. Irmeg-bej wyprężył się jak struna, zachowując kamienną twarz.

- Proszą, by oszczędzić ich Książnicę, którą zwą Świątynią Mądrości. Chcą ofiarować w darze tobie, panie, najcenniejsze manuskrypty, byś wydał rozkaz zakazujący wojownikom wchodzenia w ich mury.

¹ Meghalaya, Tipura Nadu i Kagarhaweli to kolejne stolice państw Pethabanu, zdobywane przez armię Kaganatu Samnijskiego.

² Jedno z bractw mahów pethabańskich, biegłych w ujarzmianiu demonów.

³ „Najwyższy z chanów”, dowódca połączonej armii plemion samnijskich.

⁴ Minghun to armia jednego plemienia, dowodzona przez ming-beja.

⁵ Irmeg to wiodący, najlepszy oddział – arban- każdego plemienia.

⁶ Gwardia kagana/kagani, elitarni wojownicy Samnii.

Twarz chana wyraźnie straciła wyraz znudzenia sytuacją, oczy zmrużyły się niebezpiecznie.

- Co takiego....?

- Panie, czekają przy drzwiach....

- Czekają?.... - Irinchebal mówił coraz głośniejszym głosem - Aby wręczyć mi stare papiery które i tak należą do mnie, podobnie jak całe to pieprzone miasto....!

Większość stojących przy drzwiach w tym momencie pochyliła głowy w ukłonie. Batsaikhan nie.

- Czy mam ich odprawić?

- Odprawić? Wręcz przeciwnie! - wrzasnął chan. Był młody, miał ledwie 19 lat, ale jego dowódcy znali już doskonale jego wybuchowy charakter - Dawać ich tutaj! Niech dają księgi! Nie tu, na ziemię! - stojący przy drzwiach gwardziści bezceremonialnie wepchnęli do sali trzech mężczyzn w obszernych szatach, obszytych złotymi taśmami, popychając ich na posadzkę tak mocno, że ozdobne turbany pospadały im z głów - Batsaikhan! Irmeg niech zajmie tę ich budę i spali ją do gołych fundamentów....!

Dowódca badawczo spojrzał w oczy młodego władcy.

- Panie. Muszę prosić, byś rozważył rozkaz - powiedział spokojnie - Z polecenia kagani...

- Znam rozkazy mojej matki....! - syknął Irinchebal przez zęby, stając niemal nos w nos z wojownikiem irmegu - A to są moje rozkazy! Chcę widzieć płomienie nim słońce zejdzie w dół o grubość palca.... Wykonaj!...

Batsaikhan skłonił się sztywno i odwrócił na pięcie, podążając ku drzwiom ominął klęczących i krzyczących głośno Pethabańczyków i wymienił spojrzenia z mijanymi mingbejami.

- Uciszyć ich! - usłyszał jeszcze, nim resztę zagłuszył stukot jego butów na marmurowej posadzce korytarza.

Ogień rzeczywiście zapłonął, nim słońce widocznie zeszło w dół. Na ulicach przed pałacem kottowali się ludzie, mieszały się przerażone głosy miejscowych i gniewne pokrzykiwania samnijskich wojowników. Irinchebal, niedbale oparty o parapet, obserwował widowisko, raz po raz rzucając przez okno kartki wyrwane z rozrzuconych na podłodze rękopisów. W sali audiencyjnej, w której tona wyraźnie ozłociła białe ściany odbłaskiem ognia, wciąż klęczący pethabańscy dostojnicy milczeli z pochylonymi głowami, więc odgłosy ulicy słychać było wyraźnie - krzyki, trzask płomieni... i stukot kopyt na bruku.

Gwardziści keshigu wyprężyli się przy drzwiach, obracając się z przytupem twarzami do siebie, prezentując trzymane przed sobą włócznie. Na korytarzu słychać było energiczne kroki...

Enktoia weszła do sali szybkim krokiem, rzucając niedbale na stół misiurę, podbitą futrem. Za nią w drzwiach stanęli nieodstępujący jej na krok Tsagan, dowódca keshigu i Emmeran, Najwyższy Szaman.

- Wyjść, wszyscy! - uprzedziła gnących się w pokłonach dostojników spokojnym głosem, który kojarzył się z dźwiękiem topora na pniu suchego drzewa - Ty nie - ruchem dłoni zatrzymała syna, który patrzył lekko zdezorientowanym wzrokiem na nią i na jej przybocznych.

- Kagani... - skłonił się, decydując się na oficjalne powitanie. Ciężkie drzwi trzasnęły, zamknięte z drugiej strony przez gwardzistów.

Młody chan znał swoją matkę, wielką władczynię samnijskiego stepu. Znał jej sposób chodzenia, spojrzenia i wszystkie odcienie głosu. Nie wiedział za co, ale spodziewał się bury, pretensji, może nawet spoliczkowania.

Ciężki cios wciąż opancerzonej pięści zaskoczył go jednak i oszołomił. Upadł na jedno kolano i podparł się o podłogę, łapiąc równowagę, by nie zaryć twarzą w podszkawkę. I postanowił zostać w tej pozycji.

- Dałam słowo tym ludziom....! - syknęła władczyni, akcentując każde słowo jak cięcie szablą - Poddali się, więc ocaleją. Ocaleją ich domy, ich rodziny i ich własność....! A nade wszystko ...- pochyliła się nad swoim pierworodnym, chwytając go za włosy na karku podniosła

jego twarz tak, by patrzył jej w oczy - Nade wszystko, dałam słowo, że ocaleje ich wiedza. Od Meghalayi po Agade nasi ludzie przetrząsają każdą księgę i rękopis, bo wiedza, którą zgromadził Pethaban, jest potężniejsza niż szable naszych arbanów. A ty.... - jej głos z syku zmienił się w niemal zwierzęce warczenie - Ty nie tylko ośmieszasz moje słowo, ale co gorsza niszczysz największą skarbnicę wiedzy w mieście, o które walczę od dwóch miesięcy...!

Irinchebal przez chwilę pomyślał, by wyjaśnić, by powiedzieć, że przyszli z żądaniem, że chcieli go upokorzyć, że chodziło o autorytet.... Ale milczał.

Enktoia puściła jego włosy i głośno wciągnęła powietrze. Oparła dłonie o stół, skupiając wzrok na nieistniejącym w przestrzeni detalu, jak zawsze, gdy szukała wyjścia ze złej sytuacji. A robiła to nader często, począwszy od czasów, gdy wyciągnęła samnijskie arbany z ofirskiego kotta.

- Naprawisz to - powiedziała tonem, jakby mówiła o czymś, co już się stało - Mędrcom przekażesz, że Batsaikhan złamał twoje rozkazy. Jutro o świcie każesz go stracić. Tylko nie wąż się go zhańbić sznurem, ma zostać ścięty, bez świadków, żadnych. To bohater wielu bitew i szlachetny człowiek. Sam mu to wyjaśnisz, że odda życie za twój gówniarski błąd. Ale przysięgał chronić swego chana i oddać życie, jeśli trzeba. Więc trzeba. Głowę okażesz Mędrcom, jako dowód. Oczywiście nie tym trzem, oni zaginą w drodze powrotnej w niewyjaśnionych okolicznościach... Rodzinie Batsaikhana sam zanieśiesz addiję⁷ i powiesz, że poległ w walce. I osobiście dopilnujesz, by ocalono tyle, ile się da z Wielkiej Książnicy... Nie fatyguj się - wtrąciła, widząc, jak zrywa się, jakby chciał biec gasić płonące zbiory - Tsagan zajął się tym, nim tu weszłam.

- Matko.... - Irinchebal chciał powiedzieć coś godnym, pełnym żalu głosem, lecz wyszło mu żalosne miauknięcie. Ale podniósł się i spojrzał w oczy kagani, tym razem z własnej woli. Enktoia westchnęła, już bez gniewu.

- Straciliśmy przez ciebie wiedzę, spisywaną tu od starożytności. Być może tu były odpowiedzi na pytania, których szukamy... Których szuka Władca Koni. Drzewo... Lustro... Śpiący pod górami dursaghale. Ale nade wszystko... Masz na rękach krew godnego Samnijszyka i tży jego rodziny - wyciągnęła ku niemu rękę w obszytej kolczugą rękawicy, lekko łąpiąc go za kark - Zapamiętaj to - powiedziała z naciskiem, patrząc, jak po brodzie kapie mu krew z rozbitego nosa - Zapamiętaj! Będziesz wkrótce władcą świata! Nie pali się swojego dziedzictwa! Masz władać światem, a nie obrócić go w popiół!

6 lat później

Skaliste szczyty wokół kotliny Dormenos zapewniały wieczysty cień części doliny. Chtód tych obszarów, w zetknięciu z lejącym się z nieba słonecznym żarem, powodował unoszenie się malowniczych, snujących się wśród bujnej roślinności, obłoków mgły, nadając niesamowitej dolinie jeszcze bardziej tajemniczego charakteru.

Skalna półka, na której siedział Emmeran, była na pograniczu, w półcieniu, zapewniając komfortową temperaturę, którą stary szaman sobie cenił. Opart się plecami o omszony skalny ostaniec, obserwując przez chwilę potężne mury fortecy Dormenos na przeciwległym stoku, chroniącej już nie tylko dolinę źródeł Wedry, ale także potężny węzeł geomantyczny i ukryty w podziemiach eaformator.

- Obawiam się o niego - powiedział do swojego rozmówcy, który krył się w mroku zacienionej części płaszczyzny - Nie wiem, czy nie pospieszylismy się z decyzją...

- Wiesz, że nie można było dłużej czekać - głos mógł równie dobrze należeć do kobiety jak i do mężczyzny, niski, chrapliwy, mruczący - Władca Koni dopełnił swoich zobowiązań. Mamy w rękę już niemal wszystkie narzędzia.

- Nigdy w to nie wątpiłem - szaman pokręcił głową w zamyśleniu, na chwilę zatapiając się we wspomnieniach.

⁷ Rekompensata w złocie/łupach za pozbawienie życia członka rodziny. Zwyczaj samnijski.

W jego myślach była wiosna, lasy - te nieliczne samnijskie lasy, porastające nieliczne samnijskie masywy górskie - szalały od soczystej zieleni. Konie też od niej szalały...

Grobowiec Mori Khana w rozwalających się ruinach. Urwiska, przepaście, duchy, uzbrojeni po zęby strażnicy tajemnic, których nikt nie chciał znać. Enktoia w blasku pochodni, w lejącym deszczu, bez pancerza, pokrwawiona od szabel, niesamowita, nienaturalna w swoim bojowym szale...

Uśmiechnął się. Przeszła wtedy egzamin. Wykrzyczała, że jest gotowa walczyć i umrzeć. Nie za władzę nad światem, a za swoich ludzi. Swoją watahę.

A potem upiorna twarz Mori Khana w nienaturalnym świetle krypty.

Tak wiele się wtedy dowiedzieli... Więcej, niż chcieli wiedzieć. Bez Władcy Koni nikt nie odkryłby geosiatki. Nie ochroniono by Ei. Nie pokonano by Szakala. Aszura nie zazieleniłaby się, otwierając szeroką drogę do Pethabanu.

To Enktoia wysłała wtedy posłańców na Otorten, na obcą ziemię tchórzliwych ludzi, którzy jej nienawidzili. Ale wzniosła się daleko ponad to, wraz z wizją, którą przedstawił jej Mori Khan, wizją Samni- czyli świata.

Otorten.

Miejsce, gdzie wiedza wciąż drzemie w ziemi...

- Nigdy nie wątpiłem, że Mori Khan dotrzyma słowa - powtórzył - Sprawdziło się wszystko, co powiedział.

- Prawdziwe zadanie jest wciąż przed nami.

- Tak - potwierdził - Ale ja obawiam się o to, co po drodze. Irinchebal jest wciąż ... młody. Peten gniewu, żądz i strachu. Zbyt wcześnie został sam.

- Wiesz, że nie było innego wyjścia. Choroba dotarła zbyt daleko.

- Tak... - Emmeran westchnął - Wiem, i wiem, że on wciąż pamięta lekcję z Kagarhaveli.

- Właśnie. Teraz to dziedzictwo jest jego. Jest kaganem, władcą stepu, poniesie dalej prawa, które przyswoił.

- Mhm - stary szaman mruknął jak niezadowolone zwierzę - Albo uzna, że skoro ciebie już nie ma, to twoje prawa już go nie obowiązują.

Gdyby ktoś mógł z boku obserwować samotną skalną półkę, dostrzegłby postać w cieniu, całkiem wyraźną, choć transparentną na tle skały. I każdy zapewne by ją rozpoznał, po misiurce z futrzanym otokiem, po bliznach, po drapieżnym spojrzeniu starej wilczycy.

- Może tak uznać - Enktoia - jej duch - uśmiechnęła się smutno - Ale to już nie jest moja walka. Moja jest gdzie indziej i dopiero się zaczyna.

Emmeran wyciągnął rękę do władczyni i przyjaciółki, jego dłoń przeniknęła przez zarys majaczący w oparze mgły.

- Masz to, czego chciałaś - westchnął - Stoisz na czele jego arbanów. A mnie zostawiłaś tu samego z całym tym burdelem...

- Nie jesteś sam - głos kagani powoli przekształcał się w echo, odbijające się od przestrzeni - Masz Tsagana. Masz Nerguiego. Masz Ochir. Za chwilę będziesz miał także księcia protektora, gdy Wergundia pozna prawdę. Mój syn będzie dobrym kaganem... lub nie będzie nim wcale i oboje o tym wiemy. Zaś wojna, która nadciąga, wojna, której żywi nie widzą, toczy się o stawkę, jakiej nie dorównują śmiertelne sprawy. Bądź silny, przyjacielu...

Ostatnie słowa były już ledwie słyszalne, zdawały się tylko kolejnym podmuchem wiatru.

Szaman otworzył półprzymknięte oczy, przetarł twarz i rozprostował zdrętwiałe kończyny. Trans był zakończony.